

Szyldem

Przedtem (przed czym?) nie zwracałem na nie uwagi. Ot, były zawsze i wszędzie. Aż przeczytałem książkę o działającej w międzywojennym Lwowie grupie Artes, do której należeli m.in.: Włodarski, Lille, Janisch. Surrealiści. Znałem, owszem, ich prace; rysunki Włodarskiego czy Janischa mogę oglądać godzinami: jakieś domy, kreska horyzontu, wierzgające konie, trochę karykaturalne ludzkie postaci. Miały dla mnie jakąś tajemnicę – wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jedną z inspiracji dla nich były... lwowskie szyldy. Oglądali je z zachwytem, spacerując po zaułkach miasta. Szyldy wyszły spod ręki twórców anonimowych, najpewniej samouków, choć na pewno byli wśród nich prawdziwi mistrzowie (w Grodnie na przykład mieszkał żydowski mistrz szyldów Breskin – gdy zmarł, do jego trumny koledzy malarze włożyli protest przeciwko nieuczciwej konkurencji, który miał pokazać na tamym świecie i pomóc w rozstrzygnięciu sporu). W książce opis spotkania artesowców z szyldami był na tyle inspirujący, że podjąłem własne badania, amatorskie co prawda, ale jakie przyjemne! Zacząłem więc szyldów wypatrywać wszędzie: w kinie i na filmach, przedwczoraj, wczoraj i dziś na ulicach Łodzi, na starych fotografiach, zwłaszcza naszego łódzkiego Włodzimierza Pfeifferra czy Stefana Kiełszni, który uwiecznił przedwojenny Lublin. Jak to bywa ze zbieraczami, wciąż mi było mało. Jąłem się więc posiłkować międzywojenną prasą, w której oprócz artykułów znalazłem moc rzec można substytutów szyldów – reklam prawie że ręcznie malowanych. Ton pisania o szyldach był raczej jeden: co za upadek, co za poziom, co za amatorszczyzna i pstrokaczna szpecąca miasto. „Tu spszedarz mięso i wyroby” wypisał ponoć ktoś nad wejściem do rzeźnika przy ulicy Zielonej; „Okropny dysonans kolorów – oto co przede wszystkim razi oko widza” i „inny szczegół, niezmiernie charakterystyczny. Polszczyzna okropna (...) Często widok ich wywołuje śmiech a często smutek”. Narzekano na sztampowość przedstawień, że jak sklep futrzarski to musi być lis lub niedźwiedź, jak mięsny to świnia, krowa, kurczak, a jak szewc to buty. Udało się poznać z nazwiska, czasem imienia i adresu kilku malarzy: Sztange i S-ka (Piotrkowska 83), Jan Candryk i H. Sznajder (Piotrkowska 255), Jan Jankowski (Sienkiewicza 71), Jerzy Hurwicz (Piłsudskiego 35 – „reklamy świetlne”). „Szyldarstwem” parał się również Jerzy Krauze („specjalność szklane szyldy, świetlne reklamy i nasadzenie liter na fasadach domów”), malarz i bliski znajomy małżeństwa Strzemińskich – wykorzystując swe niemieckie pochodzenie, ratował ich artystyczną spuściznę. Firmy ubiegały się o ulgi w podatkach od szyldów i reklam ze względu na wysoką jakość artystyczną wykonywanych prac – m.in. firma Stomil (Piotrkowska 135). Szyldami zajmowała się komisja artystyczna działająca przy wydziale budownictwa i tak np. zainterweniowała stanowczo w maju 1935 r. na działania „jednej z większych firm na ul. Piotrkowskiej w pobliżu pl. Wolności”, która tak przebudowała swój lokal, że do „obramowania witryn użyła tynku innego koloru aniżeli cały dom”. Prace wstrzymano i nakazano powrócić do właściwej kolorystyki. I... Stop. Skończyło mi się miejsce na tekst? Szkoda.